

„Czuje, że w tym, co robimy, kryje się coś szatańskiego, śliskiego, coś, co płące nam teraz szyki. Nie wiem jeszcze, co to jest”. (Treter w „Sto rąk, sto sztyletów”).

Wreszcie coś istotnego, naprawdę ważnego próbują powiedzieć na scenie Lubuskiego Teatru im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze. I to już powinno dać ulgę wszystkim, których irytowało dno, jakiego sięgnął ostatnio ten teatr. W tym miejscu sprawiedliwie trzeba wspomnieć o Panamiszowym „Spotkaniu”, szczególnie gdy do grupy naszych aktorów dołączyła pani Halina Mikołajska. Ale „Spotkanie” jeszcze bardziej wyostroił bezsens innych poczynań dotychczasowych. Dlatego premierę „STU RĄK, STU SZTYLETÓW” Jerzego Żurka w reżyserii Krystyny Meissner można swobodnie nazwać wydarzeniem jeszcze przed zastanowieniem się nad przesłaniem i realizacją spektaklu.

Jasne, że trudno było oczekiwać, iż artyści, co to ostatnio brali udział w czymś ponurym, wręcz beźmyślnym, nagle z dnia na

## Rzecz o koniecznej nieufności

dzień wzmoga się i wystrzelią raketą pełną niespotykanych barw. Na to trzeba czasu i dalszych, personalnych i jakościowych, zmian w samym zespole. Nie tylko podnoszenia na przyzwolity poziom rzemiosła aktorskiego, lecz i głębokich studiów nad człowiekiem, jego na turę, powikłaniami, wnętrzem, aby aktor nie był po prostu kukłą mniej lub bardziej sprawnie odtwarzającą kogoś zupełnie innego, obcego, niezrozumianego. Temu poszerzeniu wiedzy o człowieku winno sprzyjać poczucie, że się uczestniczy w ważnej społecznie działalności. Pani Krystyna Meissner swą pierwszą realizacją chyba chce wytyczyć drogę zespołowi w tym właśnie kierunku. Na razie jeszcze nie widać zbyt licznego grona partnerów zdolnych do takiej drogi, ale wierzymy w dobrą wolę ludzi. Po prostu w dobrą wolę.

„Sto rąk, sto sztyletów” miało swą prapremierę w krakowskim Teatrze im. Juliusza Słowackiego w reżyserii Jerzego Krasowskiego. W zeszłym roku na wrocławskim Festiwalu Sztuk Współczesnych zdobyło to przedstawienie wiele nagród, dwutygodnik „Teatr” ogłosił je „przedstawieniem roku”, a reżyser zdobył nagrodę im. Konrada Swinarskiego. Więc wobec tych okoliczności, co tu dużo mówić, było aktem wielkiej odwagi ze strony pani Meissner wystawienie sztuki Jerzego Żurka w Zielonej Górze. Z tym zespołem i w tym klimacie, jaki panował w teatrze, gdy dyrekcje obejmowała.

Sama materia literacka jest rzeczywiście bardzo interesująca. Żurek, jak to już napisało kilku recenzentów, poszedł śladami Stanisława Wyspiańskiego i Stanisławy Przybyszewskiej. Jak Wyspiański jedna ze scen „Nocy listopadowej” — pomieścił Żurek akcję sztuki w warszawskim Teatrze Rozmaitości w dniu wybuchu powstania. Tak jak Przybyszewska posługując się Rewolucją Francuską analizowała mechanizmy historii, tak i Żurek penetruje właśnie „reguły gry” rewolucyjnej, sposoby wykorzystania zrywów przez różnorakie siły społeczne, motywy indywidualnych postaw wobec wydarzeń. Oczywiście, wydarzenia Powstania Listopadowego są tylko i tylko pretekstem. Pisze w didaskaliach: „Podobieństwo osób i sytuacji tej sztuki do postaci i wydarzeń historycznych nie jest przypadkowe, ale jest tylko i wyłącznie podobieństwem”.

Bardzo to współczesna sztuka i zielonogórskie przedstawienie, choć posługujące się kostiumem, mówi wprost o tym, co jest dziś dla nas najistotniejsze: jak czynić społeczny ruch, by nie zaprzepaścić sił i myśli.

Jest to sztuka, a za nią zielonogórskie przed przedstawienie — bardzo pesymistyczna w wymowie. Nie chodzi o to, że traktuje o przegranej rewolucji, że pokazuje ją jako intrygę polityczną, prowokację sił żądnych władzy. Pełni władzy, którą zdobywają rękoma czytających, ideowych młodych ludzi. Gdyby o to tylko szło, to Jerzy Żurek i Krystyna Meissner pokazaliby się, jako ludzie stojący na pozycjach wszelkiej maści konserwatystów, którzy bardzo często po to właśnie odwołują się do historii, by pokazać dowodnie, że wszelkie zrywy skazane są na niepowodzenie. Bardzo interesująco na ten temat pisze w nr 6

„Kultury” Mariusz Ziomecki w artykule „Młota jako strata czasu”; gdzie odsyłam wreszcie obecnym przestraszonej...

Podobieństwo osób i sytuacji w tym przedstawieniu jak się rzekło — jest tylko podobieństwem. Powstanie Listopadowe upadło, ale to powstanie, w którym biorą udział bohaterowie Jerzego Żurka nie scenie się nie rozstrzyga. Jest w pierwszej fazie i różnie mogą potoczyć się jego losy. Więc ważne jest, aby jego uczestnicy zdali sobie sprawę z pewnej konieczności, której winni podlegać wszyscy bez wyjątku uczestnicy zrywów społecznych.

Tą koniecznością, której trzeba się poddać (takie i dziś, o czym właśnie jest przedstawienie nie zielonogórskie) jest nieufność. Nie może być wolny od nieufności nikt, kto myśli, kto zastanawia się nad celem, sensem, sposobem działania. A już szczególnie w czas przewartości gwałtownych ta nieufność pozwala dostrzegać w biegu wydarzeń „coś szatańskiego, śliskiego, coś, co płące nam teraz szyki”, jak w pewnym momencie przypuszcza jeden ze spiskowców, podporucznik Treter.

Bo oto po kolei na scenie odsłaniają się siły, które chcą „załatwić świat” rękoma spiskowców: carat, patriotyczna wprawdzie, ale konserwatywna, opozycja, niezależna właściwie, „ponadczasowa” policja, której w gruncie rzeczy jest wszystko jedno, kto ma władzę polityczną, no i statyczna publiczność, owa milcząca większość czekająca na dokonanie z nią rozstrzygnięcia; powtórzenie rozwiązania Krasowskiego (konsekwentnie wynikającego z lektury), a mianowicie — rozgrywanie akcji sztuki na scenie i na widowni czyni z widzów także bohaterów tego rewolucyjnego wieczoru. Właśnie pokazanie sił, które pchają młodych do rewolucji i rodzącej się wśród nich świadomości, że są tylko pionkami, przesądza o mądrości politycznej sztuki i tego konkretnie przedstawienia.

Po pierwsze — spiskowcy. Ich cel jest prosty — wznieść powstanie, poczem władzę oddać „godnym”. Ale to jeszcze nie jest godzina dla „godnych”. Jeszcze sytuacja nie wyklarowała się, więc „godni” czekają, aż wszystko będzie jasne, czyli bezpieczne. Grupie przewodzi porucznik Dobrowolski, jest w niej student i literat, są oficerowie. Racji tej grupy broni w tym przedstawieniu jedynie grający Dobrowolskiego Ryszard Jabłoński, aktor Teatru Współczesnego we Wrocławiu. Jest to bardzo dobra rola nie tylko w relacji do innych w tym spektaklu. To widać, że gra aktor z zupełnie innego teatru. Rola pełna żaru, nieklamanej chęci zmiany świata, zdziwienia w końcu, że ktoś ich oszukuje. Irytuje papierowy Kamil Romana Talarczyka, który ma tu do zagrania zupełnie co innego, niż proponuje ten aktor. Irytuje inni. Impонуje za to adept Stanisław Świder, który przynajmniej próbuje przebić się przez swoje niemożności.

Po drugie — konserwa, czyli generał Chłopecki, którego gra Cyryl Przybył. Kto to jest w tym wypadku? No, nie wiem, bo się Przybył po prostu nie otworzył. Wygłosił kwestie.

Po trzecie — policja. Rożnowski Hilarego Kurpanika jest groźny swoim spokojnym zaprzeczeniem i przekonaniem, że wszystkie racje stoją zawsze za policją. Hilary Kurpanik jak zawsze. Poprawnie.

Po czwarte — publiczność. Jej rzecznik, fikcyjny Marcin Wasiewicz Zdzisław Grudzień, to pogodzony właściwie ze wszystkim człowiek. Jak będzie, tak będzie, po prostu się przystosuje. Zdzisław Grudzień jak zwykle. Poprawnie.

Po piąte wreszcie — zespół Teatru Rozmaitości. Kłopotu z wybraniem wzorca chyba nie było...

Naprawdę bardzo ładna scenografia, oddająca ów pozorny przepych, w jakim podobno żyjemy, ów przepych, za którym nie ma nic. Ryszard Strzembala, zdaje się, powiedział dużo więcej scenografią niż niejeden aktor ważną wygłoszoną kwestią. Tak samo jak autor muzyki „pod klasycyzm” Janusz Mencil.

Trudno, są w Zielonej Górze aktorzy, jacy są. Chwała Bogu, że zagrali wreszcie w ważnym przedstawieniu. W mądre pomyślanym przedstawieniu. Przygotowanym z rozmachem z chęcią przewalczania stanu ogólnej niemożności. A to się naprawdę bardzo w naszej konkretnej sytuacji liczy.

Przedstawienie zielonogórskie jest jeszcze jednym dowodem na to, że nie ma w pełni teatru, gdy za racjami bohaterów sztuki nie stoi racja, żar, mądrość aktora, który postać kreuje. Ze się starali? Ze jestem niesprawiedliwy? Ależ kto widział w sztuce sprawiedliwość?!

Jak już nie raz, nie dwa pisałem — nie wierzę w to, że Zielona Góra da się porwać teatrowi. Swojemu teatrowi. Ale niechże tym razem spróbuje. Naprawdę warto. Mimo wszystkie oczywiste niedostatki.

JAN J. DĘBEK

Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze. Reżyseria: KRYSZYNA MEISSNER. Scenografia: RYSZARD STRZEMBALA. Opracowanie muzyczne: JANUSZ MENCIL. Grają: Ryszard Jabłoński (gościnnie), Tadeusz Bartkowiak, Roman Talarczyk, Stanisław Świder (adept), Wojciech Stawujak, Ludwik Schiller, Maciej Butler, Cyryl Przybył (gościnnie), Zdzisław Suknarowski, Hilary Kurpanik (gościnnie), Zdzisław Grudzień, Wacław Welski, Roman Garbowski, Grażyna Jednorowicz (adeptka), Krystyna Kuziemska (adeptka), Janina Bulawianka, Wacław Welski, Małgorzata Talarczyk-Mreła, Niko Niakas, Józef Michalciewicz oraz student WSiŃ. Zespołem Kameralnym Filharmonii Zielonogórskiej dyrygują: SZYMON KAWALA, MACIEJ OGAREK. Premiera: 31 stycznia 1981 na Dużej Scenie.